

LUCINDA RILEY

Lucinda Riley urodziła się w Irlandii. We wczesnej młodości pracowała jako aktorka filmowa, teatralna i telewizyjna, a w wieku 24 lat napisała swoją pierwszą powieść. Międzynarodową sławę przyniosła jej wydana w 2011 roku powieść *Dom orchidei*, która została przetłumaczona na 34 języki i sprzedana w ponad 8 milionach egzemplarzy. Powieści autorstwa Lucindy – m.in. *Dziewczyna na klifie*, *Tajemnice zamku* i *Róża Północy* – wielokrotnie znajdowały się na szczytach list bestsellerów „New York Timesa” i „Sunday Timesa”.

Szczególne miejsce w twórczości Lucindy Riley zajmuje inspirowany mitem o Plejadach cykl *Siedem Sióstr*, który otwiera książka pod tym samym tytułem. Zarówno ona, jak i druga powieść – *Siostra Burzy* – stały się europejskimi bestsellerami numer 1, a prawa do kilkusezonowego serialu kupuje hollywoodzka firma producencka.

Lucinda mieszka z mężem i czwórką dzieci na wybrzeżu North Norfolk w Wielkiej Brytanii oraz w West Cork w Irlandii.

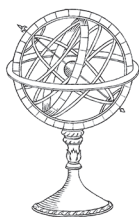
Kiedy nie pisze, podróżuje lub opiekuje się dziećmi. Uwielbia też, z kieliszkiem wina w dłoni, czytać książki, których nie napisała.

LUCINDARILEY.COM

SIOSTRA PERŁY

— SIEDEM SIÓSTR —

LUCINDA RILEY



Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁY
MARZENNA RĄCZKOWSKA
MARIA PSTRĄGOWSKA

1

Zawsze będę dokładnie pamiętać, gdzie dowiedziałam się o śmierci ojca i co wtedy robiłam, pomyślałam, wyglądając przez okno, za którym rozciągała się nieprzenikniona czerń nocy. Poniżej miejscami pojawiały się niewielkie skupiska migoczących świateł. Oznaczały ludzkie siedziby; każde światło to czyjeś życie, rodzina, grupa przyjaciół.

A ja czułam, że nic z tego już mnie nie dotyczy.

Całkiem jakbym widziała świat do góry nogami, bo światła w dole wyglądały niczym mniej jaskrawe odbicia gwiazd nade mną. Widok ten skojarzyłam z uwagą jednego z moich wykładowców w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Powiedział mi, że maluję, jakbym nie widziała, co mam przed sobą. Miał rację. Obrazy pojawiały się w moim umyśle, a nie w rzeczywistości. Często nie przyjmowały kształtów zwierząt, minerałów, a nawet ludzi, ale miały moc i zawsze czułam przymus, aby je do końca wyrazić.

Weźmy za przykład wielką stertę złomu, którą zebrałam na londyńskich śmietnikach i trzymałam w swoim studio w mieszkaniu. Całymi tygodniami starałam się wymyślić, jak ułożyć względem siebie poszczególne przedmioty. Jakbym układała ogromną kostkę Rubika, choć jej elementami były śmierdzący kanister po oleju, stara kukła Guya Fawkesa, opona czy zardzewiały metalowy kilof. Wciąż zamieniałam je miejscami i wszystko było dobrze do czasu dołożenia ostatniego, kluczowego, elementu, który zawsze – gdziekolwiek bym go położyła – rujnował całą instalację.

Oparłam rozpalone czoło o szybę ze szkła akrylowego. Tylko ona dzieliła mnie i wszystkich pozostałych ludzi w samolocie od uduszenia się i pewnej śmierci.

Nasze życie jest tak kruche...

Przestań, CeCe, skrytykowałam się ostro, czując, jak narasta we mnie strach. Jesteś w stanie lecieć bez wpadania w panikę, uwierz mi.

Zmusiłam myśli, by skupiły się na Pa Saltie; tak bardzo bałam się latania samolotem, że rozpamiętywanie wydarzeń z okresu tuż po jego śmierci przynosiło mi dziwną pociechę. Jeśli zdarzy się najgorsze, samolot spadnie z nieba i wszyscy zginiemy, wtedy może on będzie na mnie czekał po drugiej stronie. W końcu ma już za sobą podróż tam, na górę. A przebył ją jak każdy: w samotności.

Kiedy zadzwoniła do mnie nasza młodsza siostra Tiggy z wiadomością, że Pa Salt nie żyje, właśnie wkładałam dzinsy. Dziś jestem pewna, że nie do końca do mnie dotarło, co się stało. Nie byłam w stanie myśleć o niczym innym niż o tym, jak powiem to Star, która uwielbiała naszego ojca. Wiedziałam, że będzie zdruzgotana.

Ty też go uwielbiałaś, CeCe...

To prawda. Tylko że moją życiową rolą było chronienie bardziej wrażliwej siostry. Właściwie była o trzy miesiące starsza ode mnie, ale miała trudności z mówieniem, więc zawsze wyrażałam wszystko za nią. Więc odsuwając na bok własny ból, zasunęłam suwak dzinsów i weszłam do salonu, żeby jej o tym powiedzieć.

Nie odezwała się ani słowem, tylko rozplakała się w moich ramionach. Ja robiłam, co mogłam, żeby powstrzymać łzy. Dla niej, dla Star. Musiałam być silna, bo mnie potrzebowała...

Tak było wtedy...

– Proszę pani, czy czegoś pani potrzebuje?

Z góry owionął mnie obłok piżmowych perfum. Podniosłam wzrok i zobaczyłam schyloną nade mną stewardesę.

– Hm... nie, dziękuję.

– Nacisnęła pani dzwonek – powiedziała przesadzonym szepcetem, by mi przypomnieć, że wszyscy pasażerowie śpią. W końcu według czasu londyńskiego była czwarta rano.

– Przepraszam – szepnęłam, zdejmując z przycisku winny jej wezwania łokieć.

Skinęła głową w taki sam sposób jak nauczyciele, kiedy w szkole otwierałam oczy podczas modlitwy, po czym odeszła z szelestem jedwabiu. Próbowалам się jakoś wygodnie umościć i zamknąć oczy. Marzyłam, by się upodobnić do zgromadzonych tu mniej więcej czterystu zabłąkanych dusz, którym udało się uciec od horroru mknienia w przestrzeni w aluminiowej tubie i zasnąć. Jak zwykle czułam się pominięta, wykluczona z tłumu.

Oczywiście mogłam zarezerwować miejsce w klasie biznesowej. Nadal miałam nieco pieniędzy ze spadku, ale nie tak dużo, by je marnować na kilka dodatkowych centymetrów przestrzeni. Większość wydałam na szpanerski londyński apartament nad rzeką dla mnie i dla Star. Myślałam, że moja siostra chce prawdziwego domu, że ją to uszczęśliwi, ale bardzo się myliłam.

Okazało się, że nic nie osiągnęłam od zeszłego roku, kiedy to razem siedzieliśmy w klasie ekonomicznej i leciałyśmy na drugą stronę świata, do Tajlandii. Tylko teraz nie było przy mnie Star i nie miałam żadnego celu. Uciekałam.

*

– Czy ma pani ochotę na śniadanie?

Otworzyłam oczy półprzytomna i zdezorientowana. Zobaczyłam nad sobą tę samą stewardesę, która przyszła do mnie w środku nocy. W kabinie włączono światła, a przez kilka okien, w których uniesiono zasłony, widać było różowy blask świtu.

– Nie, dziękuję. Poproszę tylko kawę. Czarną.

Kiwnęła głową i odeszła. Ciekawe, dlaczego krępowалам się o cokolwiek poprosić – przecież za wszystko tu płaćłam.

– Dokąd lecis?

Odwrociłam się i ujrzałam twarz mojego sąsiada, którego dotychczas widzielaм jedynie z profilu. Do tej pory był dla mnie tylko nosem, ustami i łokiem jasnych włosów wystającym spod jego czarnego kaptura. Teraz wpatrywał się we mnie odwrócony twarzą. Miał najwyżej osiemnaście lat. Na czole i brodzie wciąż nosił ślady po trądziku młodzieńczym. Czułam się przy nim jak emerytka.

– Do Bangkoku, a potem do Australii.

– Super – skomentował, pochłaniając nienadające się do jedzenia jajka na bekonie, obok których na tacce jak z więzienia leżało coś długiego i różowego, co udawało kielbasę. – Też się tam wybieram, ale najpierw chcę zobaczyć, jak jest w Tajlandii. Słyszałem o odlotowych zabawach na plaży przy pełni księżyca. Podobno to niezła jazda.

– To prawda.

– Byłaś już w Tajlandii?

– Tak. Kilka razy. – Jego pytanie natychmiast przywołało w mojej głowie wspomnienia.

– Którą plażę polecasz? Słyszałem, że najlepsza jest na wyspie Phangan.

– Dawno tam nie byłam, ale podobno tamtejsze imprezy strasznie się rozrosły, przyjeżdża po kilka tysięcy ludzi. Ja najbardziej lubię plażę Railay w Krabi ze względu na ciszę i spokój, ale wszystko zależy od tego, kto czego szuka.

– Słyszałem o Krabi – powiedział, pracowicie żując kielbasę. – Najpierw spotykam się z kumplami w Bangkoku. I tak mamy kilka tygodni do pełni, więc coś wymyślimy. Ktoś na ciebie czeka w Australii?

– Tak – skłamałam.

– W Bangkoku też trochę posiedzisz?

– Tylko przenocuję.

Kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania nad lotniskiem Bangkok-Suvarnabhumi i załoga przekazywała uwięzionym w samolocie pasażerom rutynowe instrukcje, czułam, jaki jest podniecony. Głupota, pomyślałam, zamknęłam oczy i z całej siły starałam się uspokoić rozszalałe serce. Gdyby samolot się rozbił, wszyscy zginęlibyśmy na miejscu, niezależnie od tego, czy stolik przede mną jest zamknięty, czy nie. Muszą to mówić chyba po to, żeby nas trochę rozluźnić.

Samolot wylądował tak delikatnie, że nawet nie poczułam ziemi, dopóki nie usłyszałam przez głośniki, że już na niej jesteśmy. Otworzyłam oczy i ogarnęła mnie fala euforii. Co za triumf! Samodzielnie odbyłam długi lot, a w dodatku żyję i mogę o tym opowiadać. Star byłaby ze mnie dumna... jeśli w ogóle jeszcze jej na mnie zależy.

Przeszłam przez kontrolę graniczną, zabrałam bagaż z taśmy obrotowej i ruszyłam w stronę wyjścia.

– Dobrej zabawy w Australii! – zawołał mój nastoletni sąsiad, który podbiegł, żeby się ze mną pożegnać. – Kumpel mówił mi, że tamtejsza przyroda jest nie z tej ziemi. Są tam na przykład pająki wielkości talerzy. Do zobaczenia!

Pomachał mi i zniknął w ludzkiej masie. Ruszyłam za nim do wyjścia, tyle że dużo wolniej niż on. Na zewnątrz uderzyła mnie fala tak dobrze mi znanego przesyconego wilgocią gorącego powietrza. Wsiadłam do wahadłowego autobusu z lotniska, dojechałam do hotelu, w którym zrobiłam rezerwację, zarejestrowałam się, windą wjechałam na górę i weszłam do sterylного pokoju. Zrzuciłam z ramion plecak, usiadłam na białej pościeli i pomyślałam, że gdybym była właścicielką hotelu, dawałabym gościom ciemną pościel, na której nie widać plam pozostawionych przez ludzkie ciała, bo z białej nie dawały się sprać, choćby nie wiem jak ją szorować.

Świat był dla mnie pełen zagadek, zasad, które ktoś gdzieś wymyślił, pewnie bardzo dawno temu. Gdy zdjęłam z nóg buty trekkingowe, przemknęło mi przez głowę, że w zasadzie mogłabym być gdziekolwiek na świecie, i ta myśl bardzo mi się nie spodobała. Nade mną szumiął klimatyzator. Zamknęłam oczy. Jedyne, o czym byłam w stanie myśleć, to o tym, że gdybym w tej chwili umarła, nikt by się o tym nie dowiedział.

Zrozumiałam, czym naprawdę jest samotność. Czułam się, jakby zżerała mnie od środka, pozostawiając po sobie wielką pustą dziurę. Mrugałam, by odgonić łzy. Nigdy nie byłam płaksą, ale były uparte, aż w końcu musiałam otworzyć oczy pod ich naporem; miałam wrażenie, że pękła we mnie jakaś tama.

Płacz jest w porządku CeCe, naprawdę.

W głowie usłyszałam pocieszający głos mamy. Przypomniałam sobie, jak mi to powiedziała, kiedy spadłam z drzewa i skrzyłam sobie kostkę. Tak mocno zagryzłam dolną wargę, by powstrzymać się od płaczu, że aż poleciała mi krew.

– Jej na pewno na mnie zależy – mruknęłam bezsilnie i sięgnęłam po komórkę, żeby ją włączyć i napisać mamie, gdzie jestem. Bałam się jednak, że zobaczę tam wiadomość od Star albo, co gor-

sza, nie będzie od niej żadnej wiadomości. A to drugie na pewno by mnie załamało, więc rzuciłam telefon na łóżko i usiłowałam znów zamknąć oczy. Wtedy jednak ukazał się przed nimi tata i za nic nie chciał zniknąć.

Ważne, żebyście obie ze Star miały własnych znajomych, a nie tylko siebie nawzajem, CeCe.

Powiedział to tuż przed naszym wyjazdem na Uniwersytet Sussex. Byłam na niego zła, bo nie potrzebowałam nikogo innego, podobnie jak Star. A przynajmniej wydawało mi się, że ona nikogo nie potrzebuje. Ale potem...

– Tato... – Westchnęłam. – Czy tam, w górze, jest lepiej?

W ciągu ostatnich kilku tygodni, kiedy Star wyraźnie dała mi do zrozumienia, że już nie jestem jej potrzebna, dużo rozmawiałam z tatą. Jego śmierć wydawała mi się nierzeczywista; nadal czułam, że jest blisko mnie. Choć na zewnątrz byłam całkowicie inna niż Tiggy (następna siostra po mnie, która miała różne dziwne przekonania), tak naprawdę też byłam osobą, która wiedziała i czuła więcej... To coś siedziało w moich trzewiach i... objawiało się w snach. Często miewałam wrażenie, że świat snów jest bardziej prawdziwy i wyrazisty niż jawa – jakbym oglądała serial w telewizji. Tak odbierałam te dobre noce, bo miewałam też koszmary senne. Na przykład o ogromnych pająkach...

Wzdrygnęłam się na wspomnienie słów mojego nastoletniego towarzysza podróży. Chyba niemożliwe, żeby w Australii osiągały wielkość talerzy?

– Chryste! – Wskoczyłam z łóżka, by powstrzymać natłok myśli, i umyłam twarz w łazience. Przyjrzałam się swojemu odbiciu. Miałam zaczerwienione i spuchnięte od płaczu oczy, a na dodatek przetłuszczone po długiej podróży włosy. Przypominałam w tym momencie dzikiego warchlaka.

Nieważne, ile razy mama powtarzała mi, że mam piękne oczy o niezwykłym kształcie i kolorze, a Star mówiła, że uwielbia głaskać mnie po skórze, bo, jak twierdziła, jest gładka i miękka niczym masło kakaowe. Wiedziałam, że są po prostu dla mnie miłe. Nawet jeśli byłam brzydka, to nie ślepa. Nie znosiłam, kiedy ktoś z wyższością mówił o moim wyglądzie. Miałam pięć urodziwych siostr i wychodziłam ze skóry, żeby nie próbować współzawodni-

czyć z nimi, jeśli chodzi o wygląd. Elektra – było nie było, supermodelka – wciąż mi powtarzała, że powinnam zadbać o siebie, aby uwypuklić zalety swojej urody, ale szkoda mi było na to czasu i zachodu, bo żeby nie wiem co, i tak nie będę nigdy piękna.

Potrafiłam jednak tworzyć piękno. Teraz, na dnie rozpaczy, przypominałam sobie jeszcze coś, co tata powiedział mi, kiedy byłam młodsza.

Cokolwiek ci się w życiu przydarzy, CeCe, jednego nikt nie jest w stanie nigdy ci odebrać: talentu.

Wydawało mi się wtedy, że to następny... Jak nazwałaby to Star? Banał, który ma mi zrekompensować fakt, że jestem do bani pod względem urody, nie idzie mi w szkole i nie umiem się dogadać z ludźmi. Zresztą, tak naprawdę okazało się, że tata się mylił, bo choć inni nie mogą człowiekowi odebrać talentu, mogą w nim zniszczyć pewność siebie i tak zamotać mu w głowie, że już nie wie, kim jest i jak zadowolić ludzi, a przede wszystkim jak zadowolić siebie. Właśnie to przydarzyło mi się na kursie w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. I dlatego stamtąd związałam.

Przynajmniej dowiedziałam się, w czym nie jestem dobra, pocieszyłam się w duchu. Co, według tamtejszych nauczycieli, obejmowało prawie wszystko, czego mnie tam przez ostatnie trzy miesiące uczono.

Mimo batów, jakie otrzymałam ja, a także moja twórczość, wiedziałam, że jeśli stracę wiarę w swój talent, nie mam powodu, by dalej żyć. Naprawdę tylko to mi zostało.

Wróciłam do sypialni i znowu się położyłam. Chciałam, żeby już minęły te straszne, samotne godziny. W końcu zrozumiałam, dlaczego tyłu starszków siedziało na ławkach, kiedy przechodziłam przez park Battersea w drodze do akademii. Nawet jeśli na dworze panował mróz, musieli się upewnić, że na Ziemi są jeszcze inni ludzie i że oni nie są całkowicie sami.

Przypuszczalnie zasnąłam, bo obudził mnie koszmarny sen o pajakach i własny krzyk. Automatycznie zatkałam usta dłonią, żeby ktoś w pokoju na moim piętrze nie pomyślał, że mnie mordują. Uznałam, że dłużej nie wytrzymam sama w tym bezdusznym pokoju, więc wzięłam aparat fotograficzny i zjechałam windą do recepcji.

Na zewnątrz była cała kolejka taksówek oczekujących na klientów. Wsiadłam do jednej z nich i kazałam kierowcy jechać do Wielkiego Pałacu Królewskiego. Zawsze w równym stopniu bawiło mnie, co denerwowało, że w Bangkoku i tych miejscach w Tajlandii, które poznałam, zatrudniano znacznie za dużo ludzi. Jeśli weszło się do jakiegokolwiek sklepu, choćby po paczkę orzeszków, jedna osoba oprowadzała cię między półkami, druga obsługiwała kasę, a trzecia pakowała zakupy. Praca jest tam śmiesznie tania. Natychmiast poczułam wyrzuty sumienia, że tak myślę, a potem przypomniałam sobie, że właśnie dlatego lubię jeździć po świecie: podróże pozwalają wszystko zobaczyć w szerszej perspektywie.

Gdy kierowca wysadził mnie przed Wielkim Pałacem, ruszyłam w ślad za tłumem turystów. Wielu z nich miało czerwone ramiona, po czym można było poznać, że niedawno przybyli z miejsc o chłodniejszym klimacie. Przed świątynią zdjęłam buty trekkingowe, postawiłam je obok całego przeglądu kłapek i tenisówek, które zostawili inni zwiedzający, i weszłam do środka. Szmaragdowy posąg Buddy ma podobno ponad pięćset lat i jest najśłynniejszą rzeźbą w Tajlandii, ale w porównaniu z innymi, które widziałam, jest mały. Intensywny kolor jadeitu i kształt posągu kojarzyły mi się z jaskrawozieloną jaszczurką. Kończyny Buddy w tej rzeźbie są jakby płynne i szczerze mówiąc, niezbyt precyzyjnie wykonane. Nie ma to jednak znaczenia – Szmaragdowy Budda jest piękny.

Usiadłam po turecku na jednej z leżących tam mat i rozkoszowałam się przebywaniem poza zasięgiem słońca, w ogromnym, zanurzonym w spokoju pomieszczeniu, wśród ludzi, którzy podobnie jak ja kontemplowali własny pępek. Nigdy nie byłam specjalnie religijna, ale gdybym miała wybrać wiarę, najbardziej podobał mi się buddyzm, ponieważ skupia się na przyrodzie, która, według mnie, jest cudem rozgrywającym się przed naszymi oczami.

Star często mawiała, że powinnam zapisać się do partii zielonych, bo jeśli obejrzałyśmy w telewizji jakiś program na temat środowiska, godzinami musiała wysłuchiwać moich komentarzy. Po co miałabym to jednak robić?

Mój głos się nie liczył, byłam za głupia, żeby ktokolwiek traktował mnie serio. Wiedziałam tylko, że rośliny, zwierzęta i oceany,

które składają się na nasz ekosystem i dzięki którym żyjemy, zbyt często są ignorowane.

Jeśli mam cokolwiek czuć, to właśnie to, mruknąłam do Buddy. On także powstał z ziemi – wyciosano go z pięknego minerału, który powstawał przez tysiące lat – więc wydawało mi się, że pewnie mnie zrozumie.

Skoro znajdowałam się w świątyni, postanowiłam porozmawiać z Pa Saltem. Może kościoły i świątynie są czymś w rodzaju central telefonicznych lub kawiarenek internetowych: dają nam lepsze połączenie z niebem...

– Cześć, tato, tak mi przykro, że umarłeś. Tęsknię za tobą znacznie bardziej, niż wydawało mi się to możliwe. Przepraszam, że cię nie słuchałam, kiedy dawałeś mi rady, prawifeś te swoje mądrości i tak dalej. Powinnam była cię słuchać, bo zobacz, jak wyładowałam – powiedziałam cicho. – Mam nadzieję, że jest ci tam, w górze, dobrze – dodałam. – Jeszcze raz przepraszam.

Wstałam, czując w gardle niepokojącą gulę. Obawiając się, że za chwilę się rozplacę, ruszyłam w stronę drzwi. Miałam już wychodzić, kiedy jeszcze raz się odwróciłam.

– Proszę, pomóż mi, tato – szepnęłam.

Gdy wyszłam ze świątyni, kupiłam butelkę wody od ulicznego sprzedawcy i spacerem ruszyłam nad rzekę Chao Phraya. Przystanąłam i przez chwilę obserwowałam panujący na niej ruch. Holowniki, motorówki i przykryte czarnym brezentem szerokie barki uwijały się przy swojej codziennej pracy. Postanowiłam wybrać się w rejs promem pasażerskim. Był tani i stanowił lepszą alternatywę dla siedzenia w moim okropnym hotelu przy lotnisku.

Z pokładu podziwiałam szklane drapacze chmur, wśród których umościły się złote świątynie. Wzdłuż brzegów rzeki pobudowano rozklekotane pomosty łączące okoliczne drewniane domy z nieprzerwanym strumieniem pracowitego życia na wodzie. Wyjęłam swój wierny aparat fotograficzny marki Nikon, który dostałam od taty na szesnaste urodziny – Pa Salt powiedział wtedy: „Dzięki niemu będziesz mogła robić zdjęcia tego, co cię inspiruje” – i zabrałam się do pstrykania. Star wierciła mi dziurę w brzuchu, żebym przerzuciła się na fotografię cyfrową, ale z nowoczesną techniką mi nie po drodze, więc trzymałam się tego, co znam.

Wysiadłam z promu tuż za Hotelem Orientalnym i poszłam na spacer wzdłuż ulicy, przy której stoi. Przypomniało mi się, jak kiedyś zaprosiłam tam Star na kolację w słynnym Salonie Autorskim. Wśród elegancko ubranych gości czułyśmy się nie na miejscu w dżinsach i T-shirtach. Star godzinami siedziała w tamtejszej bibliotece, oglądając podpisane zdjęcia pisarzy, którzy zatrzymali się w hotelu. Ciekawe, czy kiedykolwiek napisze tę swoją powieść? Bo przecież tak świetnie idzie jej układanie zdań i opisywanie wszystkiego na papierze. Chociaż teraz to już nie moja sprawa. Ma nową rodzinę; widziałam światło w jej oczach, kiedy kilka tygodni temu wróciłam do domu i zastałam tam mężczyznę, do którego zwracała się Mouse. Patrzył na nią z zachwytem: jak szczeniak.

Usiadłam w ulicznej kawiarence i zaryzykowałam: zamówiłam miskę klusek i piwo. Alkohol nie bardzo mi leży, ale czułam się tak okropnie, że raczej nie mógł mi bardziej zaszkodzić. Podczas jedzenia pomyślałam, że najbardziej boli mnie nie myśl, że Star ma nowego chłopaka i pracę, ale że stopniowo odsunęła się ode mnie. Może sądziła, że jestem zazdrosna, że chcę ją mieć wyłącznie dla siebie, ale to nieprawda. Kocham ją bardziej niż cokolwiek na świecie i zawsze chciałam tylko jej szczęścia. Nie jestem tak głupia, by nie zdawać sobie sprawy, że skoro jest taka piękna i mądra, kiedyś przyplącze się do niej jakiś facet.

Wtedy, w mieszkaniu, byłaś dla niego bardzo niegrzeczna, wspominał mi wewnętrzny głos. Tak, to prawda, przeszkadzało mi, że ten facet do nas przyszedł, i jak zwykle nie potrafiłam tego ukryć.

Piwo zrobiło swoje i przytępiło mój ból. Zapłaciłam, wstałam, po czym bez celu pałętałam się po ulicy, aż w końcu skrzyżowałam w wąską alejkę, przy której był uliczny targ. Przy jednym ze straganów w głębi zauważyłam artystę, który malował akwarele. Kiedy obserwowałam jego pracę przy sztalugach, przypomniały mi się wieczory na plaży Railay w prowincji Krabi, które spędziłam ze szkicownikami i farbami, usiłując uchwycić piękno zachodu słońca. Zamknęłam oczy i pomyślałam o spokoju, jaki czułam, będąc tam ze Star zaledwie rok temu. Boleśnie zapragnęłam powrotu tego uczucia.

Wróciłam nad brzeg rzeki, oparłam się o balustradę i zaczęłam rozmyślać. Czy gdybym przed dalszą drogą do Australii pojechała

w miejsce, gdzie czułam się szczęśliwa, wyszłabym na tchórza? Na plaży Railay znam ludzi. Rozpoznają mnie, pomachają mi i powiedzą „Cześć”. Większość z nich też od czegoś uciekała, bo Railay to właśnie takie miejsce. Poza tym lecę do Australii tylko z powodu tego, co powiedział mi Georg Hoffman, prawnik taty, kiedy poszłam do jego biura. No i niewiele jest miejsc, które znajdują się dalej od Londynu niż Australia.

Więc zamiast przez ileś godzin lecieć dokądś, gdzie nikogo nie znam, jutro wieczorem o tej porze mogłabym pić zimne piwo na plaży Railay. Kilka tygodni nie zrobi chyba różnicy? W końcu zbliża się Boże Narodzenie. Może mniej okropnie będzie spędzić je w miejscu, które znam i kocham...

Po raz pierwszy od długiego czasu z przyjemnością czegoś oczekiwałam. Zanim to uczucie się rozwiało, zatrzymałam pierwszą przejeżdżającą taksówkę i pojechałam na lotnisko. Wszłam do terminalu, udałam się do biura linii Thai Airways i wyjaśniłam, że muszę odłożyć swój lot do Australii. Kobieta przy biurku długo stuknęła w klawiaturę komputera, po czym oznajmiła mi, że będzie mnie to kosztowało około czterech tysięcy batów, więc stosunkowo nie tak dużo.

– Ma pani bilet z elastycznymi datami podróży. Na kiedy chce pani zmienić wylot? – zapytała.

– Może zaraz po Bożym Narodzeniu?

– Nie mamy miejsc. Pierwszym wolnym terminem jest ósmy stycznia.

– W porządku – zgodziłam się zadowolona, że przedłużenie pobytu mogę złożyć na karb losu. Potem kupiłam bilet z Bangkoku do Krabi i z powrotem. Odlatywałam następnego ranka.

Po powrocie do hotelu wzięłam prysznic, umyłam zęby i już dużo spokojniejsza położyłam się do łóżka. Gdyby usłyszały o tym moje siostry, powiedziałyby, że znowu się „wałęsam”, ale było mi wszystko jedno.

Jak poturbowane zwierzę miałam zamiar ukryć się, by wylizać rany.

2

W plaży Railay najlepsze jest to, że leży na półwyspie i właściwie można na nią dotrzeć tylko łódką. Byłyśmy ze Star w wielu niezwykłych miejscach, ale siedzenie na drewnianej ławce tradycyjnej łodzi z długą zadartą rufą, płynącej z szumem po wodzie barwy akwamaryny, a potem widok niezwykłych wapiennych skał w kształcie kolumn wznoszących się ku intensywnie błękitnemu niebu, znajduje się na mojej liście pięciu najbardziej magicznych chwil w życiu.

W miarę jak zbliżyliśmy się do brzegu, coraz wyraźniejsze stawały się przymocowane do skały liny i ludzie, którzy wyglądali jak wspinające się po nich kolorowe mrówki ubrane w jaskrawe, odblaskowe szorty. Zarzuciłam na ramiona ciężki plecak i zesłam z łodzi. Poczułam ciarki przyjemnego podniecenia. Choć mam krótkie kończyny, są silne i zwinne, a wspinaczka po skałach należy do rzeczy, w których jestem dobra. Nie jest to cenna umiejętność dla kogoś, kto mieszka w centrum Londynu i chce zostać artystką, ale tutaj ma znaczenie. Pomyślałam, że w zależności od tego, gdzie znajdujemy się na ziemi, nasze słabe i mocne strony są albo zaletami, albo wadami. W szkole byłam matofkiem, za to Star, całkiem dosłownie – supergwiazdą. Ale tu, w Krabi, zniknęła w cieniu. Siedziała na plaży z książką, a ja rozkoszowałam się różnymi sportami na świeżym powietrzu oferowanymi w tej okolicy. Mama kiedyś powiedziała, że moim żywiołem jest otwarta przestrzeń. Pewnie właśnie dlatego w społeczności Railay byłam lepiej znana niż moja siostra.

Woda wokół łodzi miała unikalny kolor: tam gdzie świeciło na nią słońce, była turkusowa, a w cieniu ogromnych skał nabierała głębokiej zieleni. Koniec przeprawy odbyłam, brodząc przez płytczynę w stronę lądu. Widziałam przed sobą całą plażę: łagodny półksiężyc białego piasku ograniczony ogromnymi wapiennymi kolumnami. Tu i ówdzie rosły palmy pomiędzy prostymi drewnianymi chałupami, w których mieściły się hotele i bary. Z jednego z nich dochodziły mnie kojące dźwięki muzyki reggae.

Brnęłam przez parzący biały piasek w stronę hotelu Railay Beach, gdzie mieszkaliśmy w ubiegłym roku. W końcu dotarłam do recepcji – pełniącej również funkcję baru – w rogu drewnianej werandy.

– Cześć – przywitałam młodą nieznaną mi Tajkę. – Macie pokój na kilka tygodni?

Baczenie mi się przyjrzała i popatrzyła do dużej teczki z rezerwacjami. Uważnie oglądała każdą stronę, wodząc po niej palcem, aż wreszcie pokręciła głową.

– Idzie Boże Narodzenie. Po dwudziestym pierwszym my nie mieć ani jednego pokoju.

– W takim razie może zostaną chociaż na następne dwa tygodnie? – zaproponowałam.

Nagle poczułam, że ktoś klepie mnie w plecy.

– Cee? To ty, prawda?

Odwróciłam się i zobaczyłam Jacka, wysokiego Australijczyka o sprężystych mięśniach. Był właścicielem hotelu i prowadził szkołę wspinaczki skałkowej na pobliskiej plaży.

– Tak. Cześć. – Uśmiechnęłam się do niego szeroko. – Właśnie biorę pokój w hotelu, na najbliższe dwa tygodnie, bo potem muszę się stąd zmywać. Podobno macie pełne obłożenie.

– Dla ciebie na pewno znajdzie się jakaś komórka, złotko, nie martw się. Jesteś z siostrą?

– Nie. Tym razem przyleciałam sama.

– Na ile zostajesz?

– Odlatuję po Nowym Roku.

– Daj mi znać, gdybyś chciała mi pomóc na skale. Przydałabyś mi się, Cee. O tej porze roku robi się tu dom wariatów.

– Może się zgłoszę. Dzięki – odparłam.

– Proszę wypełnić dane. – Tajka podała mi kwestionariusz.
– Nie zwracaj tym sobie głowy, Nam – zwrócił się do niej Jack. – Cee była tu w zeszłym roku z siostrą, więc wszystkie jej dane już mamy. – Spojrzał na mnie. – Chodź. Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

– Dzięki.

Kiedy Jack brał mój plecak, zauważyłam, że recepcjonistka mierzy mnie złym wzrokiem.

– A dokąd jedziesz potem? – spytał.

– Do Australii.

Stanęliśmy przed pokojem numer dwadzieścia dwa, na końcu przejścia. Zobaczyłam, że moja kwatery jest tuż przy generatorze prądu, w dodatku z widokiem na dwa wielkie śmietniki.

– A, do mojej ojczyzny! Gdzie dokładnie?

– Na północno-zachodnie wybrzeże.

– A wiesz, że o tej porze roku jest tam piekielny skwar?

– Upał mi nie przeszkadza – odpowiedziałam i otworzyłam drzwi.

– To na razie. – Jack pomachał mi i odszedł wolnym krokiem.

Chociaż pokój był maleńki, wilgotny i okropnie śmierdzący śmieciami, z ulgą rzuciłam plecak na podłogę. Od tygodni nie czułam się tak dobrze, bo to ważne być rozpoznawalną. W ubiegłym roku od czasu do czasu pracowałam w szkole wspinaczki. Uwielbiałam sprawdzać liny i mocować klientom uprząż. Obie ze Star krucho stałyśmy z gotówką, więc pasowało im, że Jack w zamian za moją pracę obniżył rachunek za pokój. Ciekawe, co by zrobił, gdybym mu powiedziała, że nie muszę już pracować, bo teraz jestem milionerką? – pomyślałam. W każdym razie na papierze...

Pociągnęłam za postrzępiony sznurek, żeby włączyć wiatrak na suficie. W końcu rozkręcił się z piskiem i stukotem, ale wywołał tylko ledwie odczuwalny powiew. Zrzuciłam z siebie ubrania, włożyłam bikini i sarong, który kupiłam tu w ubiegłym roku, po czym wyszłam z pokoju i ruszyłam na plażę. Chwilę siedziałam na piasku, z rozbawieniem dochodząc do wniosku, że tu, w „raju”, jest milion razy głośniejsze niż w moim londyńskim mieszkaniu nad rzeką, bo tyle tu przyplywa i odpływa tradycyjnych długich łodzi z silnikami. Wstałam, podeszłam do brzegu i poszłam pobrodzić

w morzu. Kiedy znalazłam się już dostatecznie daleko, położyłam się na plecach na cudownej wodzie. Patrząc w niebo, dziękowałam Bogu – czy też Buddzie, czy komukolwiek należy dziękować – że wróciłam do Krabi. Po raz pierwszy od miesiący poczułam się u siebie.

*

Tej nocy, jak często w przeszłości, spałam na plaży. Na sobie miałam tylko tunikę, bluzę z kapturem, a pod głowę dla wygody położyłam nadmuchiwaną poduszkę. Gdy poprzednim razem chodziłam spać na plażę, Star traktowała mnie jak wariatkę.

– Na śmierć zagryzą cię komary – ostrzegła mnie.

Ja jednak – sama nie wiem dlaczego – mając nad sobą księżyc i gwiazdy, czułam się bezpieczniejsza niż pod jakimkolwiek dachem zrobionym przez człowieka.

Obudziło mnie łaskotanie w twarz. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że koło mnie w stronę morza przeszły duże męskie stopy. Strzepnęłam z siebie piasek, którym mnie obsypały, i zobaczyłam, że poza nami na plaży nie ma żywej duszy. Na horyzoncie pojawiło się nikłe światło, z czego wynikało, że nadchodzi świt. Rozdrażniona, że tak wcześnie zostałam obudzona, przyglądałam się, jak mężczyzna z brodą i czarnymi związanymi w kucyk włosami wystającymi spod bejsbolówki dochodzi do brzegu i siada, podciągając nogi do klatki piersiowej i obejmując je rękami. Odwróciłam się na drugi bok, by z powrotem zasnąć – najlepiej śpi mi się między czwartą a dziesiątą rano – ale ani moje ciało, ani umysł nie chciały współpracować. Usiadłam więc w tej samej pozycji co mężczyzna przede mną i razem z nim przyglądałam się wschodowi słońca.

Chociaż byłam w wielu egzotycznych miejscach, stosunkowo niewiele razy widziałam, jak wschodzi słońce. Wczesny ranek nie jest moją ulubioną porą. Wspaniałe, subtelne barwy brzasku przywiodły mi na myśl malarstwo Turnera, ale w realu było znacznie piękniej.

Kiedy spektakl dobiegł końca, mężczyzna natychmiast wstał i odszedł brzegiem plaży. Z oddali dobiegły mnie ledwie słyszalne odgłosy długiej łodzi oznajmiające początek dnia ludzkiej pracy. Postanowiłam schronić się w pokoju, zanim plaża zapełni się przy-

bywającymi i odpływającymi turystami, i wstałam. Warto było się obudzić, żeby to zobaczyć, pomyślałam, przekręcając klucz w zamku, a potem kładąc się do łóżka.

*

Jak zwykle tutaj, czas mijał mi niepostrzeżenie. Zgodziłam się pomóc Jackowi w szkole wspinaczki skałkowej. Oprócz tego chodziłam nurkować ze sprzętem. Pływałam w towarzystwie koników morskich, barwnych ryb papuzich i rekinów rafowych, które krążyły między koralami, nie racząc nawet rzucić na mnie okiem.

Zachody słońca spędzałam wśród ludzi siedzących na rozłożonych na plaży matach. W tle słychać było dźwięki piosenek Boba Marleya. Przyjemnie zaskoczyło mnie, jak wielu mieszkańców Railay zapamiętało mnie z zeszłego roku. Wracałam do swojego pokoju, dopiero gdy zapadał zmrok, a ludzie przenosili się do baru, żeby się upić. Nie było mi jednak szczególnie przykro, bo to ja ich opuszczałam, a nie odwrotnie, więc gdybym chciała, zawsze mogłam do nich z powrotem dołączyć. Ale tak naprawdę humor poprawił mi się, kiedy dzień po przyjeździe w końcu odważyłam się włączyć telefon i zobaczyłam, że Star wysłała mi mnóstwo SMS-ów w stylu: **Gdzie jesteś?**, **Strasznie się o ciebie martwię!**, **Proszę, zadzwoń do mnie!**, i wielokrotnie nagrała się na pocztę głosową. Głównie w kółko powtarzała, że bardzo mnie przeprasza. Chwilę zajęło mi, żeby wysłać jej odpowiedź – nie tylko z powodu dysleksji i dlatego, że słownik w moim telefonie miał jeszcze większe problemy z ortografią niż ja, ale też po prostu nie wiedziałam, co napisać.

Wreszcie odpisałam, że u mnie w porządku i przepraszam, że nie odezwałam się wcześniej, ale jestem w podróży. Co było prawdą – i to nie tylko w sensie dosłownym. Natychmiast odpowiedziała, że bardzo jej ulżyło, cieszy się, że nic mi nie jest, i jeszcze raz mnie przeprasza. Zapytała, gdzie jestem, ale coś powstrzymało mnie od odpowiedzi. Może to dziecinne, lecz musiałam zachować dla siebie jakąś tajemnicę. Bo ostatnio to Star mnóstwo przede mną ukrywała.

*

Zdałam sobie sprawę, że jestem na plaży Railay już dwa tygodnie dopiero wtedy, kiedy młoda tajska recepcjonistka Nam, która zachowywała się, jakby hotel należał do niej, przypomniała mi, że dziś o dwunastej muszę się wymeldować.

– Kurczę – mruknęłam pod nosem, bo dotarło do mnie, że cały rano muszę spędzić na szukaniu kwatery.

Kilka godzin później wróciłam do hotelu. Bezowocnie niczym Maryja na osiołku, przemierzyłam tam i z powrotem plażę Railay, szukając noclegu. Nam znów zmierzyła mnie wściekłym wzrokiem.

– Służąca musi sprzątnąć pokój – rzuciła. – O drugiej przyjechać nowe goście.

– Już się zbieram – odparłam. Miałam ochotę jej powiedzieć, że stać mnie na zamieszkanie w pięciogwiazdkowym hotelu Rayavadee. Gdyby tylko mieli wolny pokój, ale niestety – już to sprawdziłam. Wepchnęłam swoje rzeczy do plecaka, a potem odniosłam klucz do recepcji. Przez kilka dni będę musiała spać pod gwiazdami. Byle tylko minęło Boże Narodzenie, pomyślałam.

Wieczorem, kiedy jadłam pad thai, zobaczyłam przy barze Jacka. Jednym ramieniem obejmował Nam, co natychmiast wyjaśniło mi, dlaczego dziewczyna jest do mnie tak źle nastawiona.

– Znalazłaś miejsce na nocleg? – spytał mnie.

– Jeszcze nie, ale bez problemu prześpię się dzisiaj na plaży.

– Słuchaj, Cee, weź mój pokój. Nie ma sprawy. Na kilka nocy na pewno znajdę sobie spanie gdzie indziej. – Szturchnął w bok naburmuszoną Nam.

– Dzięki, Jack – zgodziłam się natychmiast, bo przez całe popołudnie musiałam pilnować plecaka jak Świętego Graala i zastanawiałam się, gdzie znajdę prysznic, żeby zmyć z siebie piasek i sól. Nawet ja potrzebuję podstawowych wygód.

Sięgnął do kieszeni po klucz i podał mi go, a Nam spojrzała na mnie z niezadowoleniem. Zgodnie z jego wskazówkami weszłam na górę po prowadzących z recepcji wąskich schodach i otworzyłam drzwi. Poza tym, że w pokoju unosił się zapach przeпоconych skarpetek pomieszany z wonią wilgotnych ręczników, wszystko było wspaniałe: Jack miał najpiękniejszy widok w całym hotelu i niewielki taras na dachu werandy.

Zamknęłam drzwi na klucz, na wypadek gdyby Jack się upił i zapomniał, że odstąpił mi swój pokój, i poszłam pod prysznic. Miał on znacznie większą słuchawkę niż te w pozostałych pokojach i leciał z niej o wiele silniejszy strumień wody niż z ledwie ciurkających pryszniców w pokojach dla gości. Włożyłam czysty T-shirt i szorty i poszłam usiąść na tarasie.

Niedaleko Pasa Oriona zobaczyłam gwiazdozbiór Siedmiu Sióstr, czyli Plejad. Kiedy tata po raz pierwszy pokazał mi przez teleskop moją gwiazdę, widział, jak się rozczarowałam. Świeciła najślabiej, co samo w sobie wystarczyło, by mnie zdołować, a mit związany z moim imieniem wydał mi się bardzo niejasny. Byłam młoda, więc chciałam, żeby moja gwiazda była najjaśniejsza, największa i wiązała się z najciekawszą opowieścią.

„CeCe, jesteś tu, na Ziemi, żeby sama napisać swoją historię. I wiem, że ci się uda”, powiedział, biorąc moje małe rączki w swoje.

Kiedy przyglądałam się naszym Plejadom, przypomniał mi się list, który zostawił dla mnie tata. Kilka dni po jego śmierci dał mi go jego prawnik, Georg Hoffman.

Star nie chciała otworzyć tego, który Pa Salt napisał do niej, ale ja swój rozpaczliwie pragnęłam natychmiast przeczytać. Poszłam więc do ogrodu i wspięłam się na gałęzie starego, wspaniałego buku – tego samego, z którego w dzieciństwie spadałam. Zawsze czułam się na nim bezpiecznie – jego gęste liście chroniły mnie przed ludzkim wzrokiem. Często wchodziłam na niego, by porozmyślać albo się podąsać – w zależności od sytuacji. Umościłam się na szerokiej gałęzi i rozdarłam kopertę.

*Atlantis
Jezioro Genewskie
Szwajcaria*

Moja droga CeCe

*Wiem, jak trudno będzie Ci przeczytać ten list.
Błagam Cię jednak: doczytaj go cierpliwie do końca.
Domyślałam się, że się nie rozplączesz, bo emocje to coś,
co trzymasz zamknięte w sobie. Mam jednak pełną
świadomość, jak głębokie są Twoje uczucia.*

Jestem pewny, że byłaś silna ze względu na Star. Przybyłaś do Atlantis sześć miesięcy po niej. Z przyjemnością patrzyłem, jak pięknie się nią zawsze opiekowałaś. Kochasz głęboko i z oddaniem, tak jak ja zawsze kochałem. Przyjmij radę od człowieka, który się na tym zna: nie pozwól, aby przy tym zaszkodzić sobie. Kiedy nadejdzie czas, nie bój się puścić Star – więzi, jakie łączą Cię z siostrą, są głębokie i nierozzerwalne. Uwierz w nie.

Jak już pewnie widziałaś, w moim ukochanym ogrodzie zostawiłem dla Was, moich dziewcząt, sferę armilarną. Pod każdym z Waszych imion znajdują się współrzędne, z których dowiecie się, gdzie Was znalazłem. Są tam także cytaty. Mam nadzieję, że swój uznasz za trafiony. Według mnie, jest celny.

Ponadto koniecznie jak najszybciej spotkaj się z moim drogim przyjacielem i prawnikiem, Georgiem Hoffmanem. Nie martw się: wiadomość, którą ma Ci do przekazania, jest dobra. I da Ci wystarczającą wskazówkę, byś mogła się dowiedzieć o swojej biologicznej rodzinie, jeśli tylko zechcesz. W razie gdybyś postanowiła podjąć poszukiwania, radzę Ci dowiedzieć się jak najwięcej o kobiecie, która nazywała się Kitty Mercer i mieszkała w Broome, na północno-zachodnim wybrzeżu Australii. To od niej zaczyna się Twoja historia.

Wiem, że często czułaś się przyćmiona przez pozostałe siostry. Najważniejsze, abyś nie straciła wiary w siebie. Twój talent artystyczny jest jedyny w swoim rodzaju – malujesz tak, jak dyktuje Ci wyobraźnia. Kiedy tylko znajdziesz w sobie pewność, by w niego uwierzyć, na pewno odniesiesz wielki sukces.

Na koniec chcę Ci powiedzieć, że bardzo Cię kocham, moja silna, uparta poszukiwaczko przygód. Nigdy nie przestawaj szukać natchnienia i spokoju, CeCe. Modłę się, byś w końcu je odnalazła.

Pa Salt x

Tata miał rację co do jednego – przeczytanie listu i rozszyfrowanie każdego słowa zajęło mi prawie godzinę. Pomylił się jednak w czymś innym – prawie się rozplakałam. Bardzo długo siedziałam na drzewie, aż w końcu zorientowałam się, że zdrętwiała mi pupa i mam sztywne nogi, więc musiałam zejść na dół.

*Lecz za łaską Boga jestem tym, czym jestem** – tak brzmiał cytat, który wygrawerował na sferze armilarnej. Biorąc jednak pod uwagę, że zarówno wtedy, jak i teraz nie miałam pojęcia, kim jestem, wcale mnie to nie zainspirowało, tylko jeszcze bardziej przygnębiło.

Następnego dnia rano pojechałam na spotkanie z Georgiem Hoffmanem w jego genewskim biurze. Nie pozwolił Star ze mną wejść, więc została w recepcji, pod drzwiami. Powiedział mi o moim spadku i dał kopertę z czarno-białym zdjęciem w środku. Przedstawiało starszego mężczyznę z kilkunastoletnim chłopcem, którzy stali obok furgonetki.

– Czy powinnam ich znać? – zapytałam Georga.

– Niestety, nie mam pojęcia, Celaeno. Ta fotografia była jedynym przedmiotem, który dotarł do mnie razem z pieniędzmi. Nie było najmniejszej notatki, tylko adres prawniczki, która przekazała pieniądze z Australii.

Planowałam pokazać zdjęcie Star i zapytać, czy z czymś jej się kojarzy. Postanowiłam jednak, że nie powiem jej, o czym mówił Georg Hoffman, dopóki nie otworzy swojego listu. Miało ją to zachęcić, żeby się z tym pospieszyła. Kiedy w końcu go otworzyła, nie powiedziała mi, co w nim było, więc nadal nie wie o zdjęciu ani o tym, skąd miałam pieniądze na londyńskie mieszkanie.

Kiedyś wszystko mi mówiłaś...

Oparłam brodę na dłoniach i wychyliłam się z tarasu. Znów „opadły mnie smutki”, jak taki nastrój nazywała Star. Kątem oka zauważyłam samotną, wpatrzoną w pełnię księżycy postać stojącą nad wodą niedaleko skał. Był to ten sam mężczyzna, który kilka tygodni temu obudził mnie na plaży. Od tamtej pory go nie widziałam. Społeczność Railay jest bardzo mała, więc uznałam, że

* Biblia Tysiąclecia, 1 Kor 15, 10.

wyjechał. On jednak znowu się pojawił. Całkiem sam stał w mroku nocy. Może nie chciał, żeby go widziano.

Przez chwilę mu się przyglądałam, by zaobserwować, dokąd odchodzi, ale tak długo się nie ruszał, że mi się to znudziło, więc weszłam do środka i położyłam się spać. Kimkolwiek był, nie ulegało wątpliwości, że jest równie samotny jak ja.

3

W wigilię Bożego Narodzenia akurat przypadała pełnia księżyca. Automatycznie zrobiłam to, co razem ze Star i resztą naszych siostr robiłyśmy co roku – w nocy popatrzyłam na niebo w poszukiwaniu magicznej, jasnej gwiazdy, czyli według taty, Gwiazdy Betlejemskiej. Kiedyś z pomocą Ally wygooglowałam gwiazdę, którą wskazał nam tata, i dowiedziałam się, że właściwie jest to Gwiazda Północna – Polaris. W Szwajcarii przez cały rok widnieje wysoko na niebie, ale dziś w ogóle nie umiałam jej znaleźć. Potem przypomniałam sobie, czego jeszcze dowiedziałam się z Google’a: im dalej na południe, tym trudniej ją zobaczyć. Spojrzałam na niebo i pomyślałam: Jaka to szkoda, że nie jesteśmy już dziećmi i że do odkrycia prawdy wystarczy wcisnąć kilka klawiszy komputera.

Dzisiaj jednak postanowiłam wierzyć w magię. Utkwiłam wzrok w najjaśniejszej gwiazdzie, jaką udało mi się zobaczyć, i pomyślałam o Atlantis. A poza tym, chociaż buddyści nie obchodzą Bożego Narodzenia, w Tajlandii postarano się zadbać o zagranicznych gości i wszędzie porozwieszano błyskotki i chorągiewki z folii, żeby dać im namiastkę świątecznej atmosfery.

Tuż przed północą opuściłam głośny bar i poszłam w stronę skał, żeby mieć jak najlepszy widok na pełnię księżyca. I tam, w cieniu, stał mój tajemniczy mężczyzna – znów zaszył się w ciemnym miejscu i jak zwykle był sam. Zirytowało mnie to, bo chciałam te szczególne chwile przeżyć w samotności, więc odwróciłam się

i poszłam w drugą stronę. Kiedy byłam od niego dostatecznie daleko, spojrzalam w górę i przemówiłam do siostry:

– Wesołych świąt, Star. Mam nadzieję, że jest ci dobrze i miło. Tęsknię za tobą – szepnęłam w stronę nieba. Wysłałam tam też życzenia dla taty i mamy, której pewnie brakuje Pa Salta tak samo jak każdej z nas. Posłałam całusa każdej z moich siostr, nawet Elektrze, która tak naprawdę na niego nie zasługiwała, bo jest samolubna, wredna i rozpaskudzona... Ale w końcu było Boże Narodzenie. Odwróciłam się, żeby wracać. Nogi trochę się pode mną chwiały, bo w barze wciśnięto mi trochę za dużo piwa.

Kiedy przechodziłam koło tajemniczego mężczyzny, lekko się potknęłam. Natychmiast poczułam na barkach dwie podtrzymujące mnie dłonie.

– Dziękuję – mruknęłam. – W piasku był kamień.

– Nie ma sprawy.

Zdjął dłonie z moich barków, a ja dobrze mu się przyjrzałam. Najwyraźniej niedawno pływał, bo rozpuścił kucyk, a jego długie, czarne włosy były mokre i spadały mu na ramiona. Miał coś, co nazywałyśmy ze Star brodą na kłacie, choć nie była zbyt imponująca. No i od pępka aż do szortów schodziła mu kreska czarnych włosów, które widać było w świetle księżyca. Nogi też miał dość mocno owłosione.

Podniosłam wzrok na jego twarz i zobaczyłam, że ma ostre jak brzytwa kości policzkowe wystające nad ciemną brodą. W zestawieniu z nimi, jego usta wydawały się niezwykle pełne i różowe. Kiedy w końcu odważyłam się spojrzeć mu w oczy, zobaczyłam, że mają kompletnie zaskakujący, niebieski kolor.

Przypominał mi wilkołaka. A dziś mieliśmy przecież pełnię. Był tak chudy i wysoki, że czułam się przy nim jak przygruba Pigmejka.

– Wesołych świąt – wybełkotał.

– A... wesołych świąt.

– Już cię kiedyś widziałem, prawda? To ty spałaś wtedy o świecie na plaży.

– Pewnie tak. Często tu się szwendam. – Wzruszyłam ramionami.

Zmierzył mnie spojrzeniem tych przedziwnych niebieskich oczu.

– Nie masz pokoju?
– Mam, ale lubię spać na dworze.
– Tyle gwiazd, niezwykła przestrzeń wszechświata... Ustawia nam wszystko w odpowiedniej perspektywie, co? – Westchnął głęboko.

– Tak. Gdzie mieszkasz?
– Niedaleko. – Wilkołak machnął ręką mniej więcej w stronę skały za nim. – A ty?

– Tam. – Wskazałam hotel Railay Beach. – W każdym razie trzymam tam plecak – dodałam. – No to cześć. – Odwróciłam się w stronę hotelu i ruszyłam. Z całej siły starałam się iść prosto, co nie było łatwe z powodu piasku i dwóch wypitych piw.

Kiedy doszłam do werandy, wciąż czułam na sobie wzrok Wilkołaka, więc pozwoliłam sobie zerknąć przez ramię. Nadal się we mnie wpatrywał, więc zgarnęłam z lodówki kilka butelek wody i uciekłam na górę, do pokoju Jacka. Z niejakim trudem trafiłam kluczem do dziurki w drzwiach, po czym ukradkiem wyszłam na balkon, żeby zobaczyć, czy dalej tam jest, ale zniknął.

Może czeka, aż zasnę, a wtedy zagłębi mi kły w szyi, żebym nie czuła, jak wysysa ze mnie krew...

Przecież tak robią wampiry, a nie wilkołaki, CeCe! – upomniałam się ze śmiechem. Dostałam czkawki, więc duszkiem wypilałam całą butelkę wody, zła, że moje żałosne ciało nie może sobie poradzić z dwoma małymi piwami. Dowlekłam się do łóżka, a kiedy się położyłam, poczułam, że kręci mi się w głowie. W końcu straciłam świadomość.

*

Dzień Bożego Narodzenia boleśnie przypominał mi ten, który rok temu w tym samym miejscu spędziłam ze Star. Na werandzie zestawiono wszystkie stoły i podano namiastkę tradycyjnego angielskiego świątecznego obiadu z pieczenią – jakby Gwiazdkę dało się odtworzyć w trzydziestoczworostopniowym upale.

Po obiedzie czułam się wzdęta od ciężkiego europejskiego jedzenia, więc poszłam popływać. Była prawie trzecia, czyli mniej więcej pora, kiedy Anglia zaczyna się budzić. Star zapewne spędza święta w Kent ze swoją nową rodziną. Wyszłam z morza i jak pies

strząsnęłam z siebie krople wody. Na plaży leniwie porozkładało się mnóstwo par na poobiednią sjęstę. Po raz pierwszy od dwudziestu siedmiu lat Star i ja spędzałyśmy święta oddzielnie. No cóż, jeśli tajemniczy mężczyzna jest wilkołakiem, to ja jestem teraz samotnym wilkiem i muszę się do tego przyzwyczaić.

Wieczorem siedziałam w kącie werandy i słuchałam muzyki z iPoda. Nie była to zbyt ambitna muzyka – ale w chwilach chandry taka mnie rozwesela. Nagle poczułam, że ktoś puka mnie w ramię, odwróciłam się i zobaczyłam, że koło mnie stoi Jack.

– Cześć – powiedziałam, zdejmując z uszu słuchawki.

– Cześć. Postawić ci piwo?

– Dzięki, nie. Już wczorajsze zważyło mnie z nóg. – Przewróciłam oczami, choć wiedziałam, że był wtedy zbyt pijany, by zauważyć, co się ze mną działo.

– Jasne. Wiesz co, Cee, chodzi o to, że... pokłóciliśmy się z Nam. Nie pamiętam, co zbroiłem, ale o czwartej rano wyrzuciła mnie z łóżka. I nawet się nie pojawiła, żeby pomóc przy świątecznym obiedzie, więc nie mam co się spodziewać, że wieczorem przywita mnie z otwartymi ramionami. Wiesz, jakie są kobiety.

Aha, a może przypadkiem udało ci się zauważyć, że sama do nich należę, miałam ochotę powiedzieć, ale tego nie zrobiłam.

– Problem w tym, że nie mam gdzie się przekimnąć. Miałabyś coś przeciwko temu, żebyśmy weszli z tobą do łóżka?

Jasne, że bym miała! – pomyślałam natychmiast.

– Wiesz co, Jack, jeśli tylko pozwolisz mi zostawić w twoim pokoju plecak, z chęcią prześpię się na plaży – zapewniłam go.

– Serio?

– Serio.

– Sorki, Cee, ale jestem wykończony przygotowaniami do świąt. Przez ostatnie kilka dni miałem niezły zasuw.

– Nie ma sprawy. Pójdę tylko po rzeczy i zostawię cię w spokoju.

– Jutro na pewno coś dla ciebie znajdziemy! – zawołał za mną, kiedy odchodziłam.

Plaża była dla mnie zdecydowanie lepszą opcją niż spanie w pokoju z chrapiącym facetem, którego ledwie znałam. Coś takiego na pewno skończyłoby się dla mnie nocnymi koszmarami.

Zebrałam swoje prowizoryczne posłanie, a resztę rzeczy wpackałam do plecaka. Jutro koniecznie muszę sobie znaleźć jakieś lokum, bo do Australii lecę dopiero za dwa tygodnie.

Na plaży rozłożyłam się pod krzakiem. Tknięta nagłym impulsem, wyciągnęłam z kieszeni szortów komórkę i wybrałam numer Atlantis.

– Halo – usłyszałam po kilku dzwonekach.

– Cześć, mam, to ja, CeCe. Chciałam tylko złożyć życzenia tobie i Claudii.

– CeCe! Tak się cieszę, że się odezwałaś! Star mówiła, że wyjechałaś. Gdzie jesteś?

Mama zawsze mówiła do nas, dziewcząt, po francusku, więc musiałam przestawić mózg, zanim byłam w stanie jej odpowiedzieć.

– Znasz mnie, mam. Jak zawsze szwendam się po plaży.

– No tak. Nie spodziewałam się, że długo wytrzymasz w Londynie.

– Naprawdę?

– Jesteś wolnym duchem, *chérie*. I masz w sobie bakcyl wędrowania.

– No tak. Mam. – W tej chwili poczułam, że kocham mamę tak jak chyba nigdy dotąd. Nikogo nie osądzała ani nie krytykowała; zawsze wspierała swoje dziewczęta.

W tle usłyszałam niskie męskie kasznięcie, więc nadstawiłam ucha.

– Kto tam z tobą jest? – spytałam podejrzliwie.

– Tylko Claudia i Christian – odparła mama.

Innymi słowy: pracownicy Atlantis.

– No tak. Wiesz, mam, to dziwne, ale trzy tygodnie temu, na lotnisku w Londynie, byłam pewna, że widziałam Pa Salta. Szedł ruchomym chodnikiem w przeciwną stronę niż ja. Pobiegłam, żeby go dogonić, ale zniknął. Wiem, że to głupie, ale naprawdę byłam pewna, że to on.

– Och, *chérie*... – Usłyszałam głębokie westchnienie mamy. – Nie jesteś pierwszą z sióstr, która coś takiego mi powiedziała. Ally i Star też były przekonane, że słyszały go albo widziały... i może naprawdę tak było. Ale nie w rzeczywistości. W każdym razie nie w tej rzeczywistości, która jest nam znana.

– Myślisz, że widziałyśmy i słyszałyśmy ducha taty? – Roześmiałam się.

– Moim zdaniem, chcemy wierzyć, że nadal go widzimy, więc może wyczarowujemy go naszą wyobraźnią. Ja wciąż go tutaj gdzieś widzę – powiedziała mama, która nagle wydała mi się bardzo smutna. – W dodatku nadeszła dla nas wszystkich bardzo smutna pora roku. Jesteś zdrowa, CeCe?

– Przecież wiesz, mamó, że nigdy w życiu nawet przez jeden dzień nie chorowałam.

– I jest ci dobrze?

– Daję radę. A ty?

– Oczywiście tęsknię za waszym ojcem i za wami wszystkimi. Masz pozdrowienia od Claudii.

– Nawzajem. No dobrze, mamó, tutaj jest już późno. Muszę się położyć.

– Odzywaj się do mnie, CeCe.

– Jasne. Dobranoc.

– Dobranoc, *chérie*. I *joyeux Noël*.

Włożyłam komórkę do kieszeni szortów, objęłam kolana ramionami i oparłam o nie głowę. Rozmyślałam o tym, jak trudne muszą być dla niej te święta. My, dziewczęta, jakoś ułożymy sobie życie, a przynajmniej się o to staramy. Więcej czasu mamy przed sobą niż za sobą. A ona swoje życie oddała nam, dziewczętom, i tacie. Zaczęłam się zastanawiać, czy kochała tatę – chodziło mi o taką romantyczną miłość – i doszłam do wniosku, że musiało tak być, skoro tyle lat została w Atlantis i żyła naszym życiem. A teraz wszyscy ją opuściliśmy.

Potem zaczęłam się zastanawiać, czy moja prawdziwa mama kiedykolwiek za mną tęskniła albo o mnie myślała i dlaczego oddała mnie tacie. Może zostawiła mnie w jakimś sierocińcu, z którego tata zabrał mnie z litości. Jestem pewna, że byłam strasznie brzydkim niemowlakiem.

Wszystkie odpowiedzi znajdowały się w Australii, o następnym prawie dziesięć godzin podróży stąd. Niewyobrażalnie dziwnym zbiegiem okoliczności był to jedyny kontynent na świecie, na który za nic nie chciałam jechać, chociaż Star miała na to ochotę. Wstyd, że powodem były moje nocne koszmary o pająkach, ale taka jest prawda.

No cóż, pomyślałam, moszcząc się na piasku. Tata powiedział, że jestem silna, i nazwał mnie poszukiwaczką przygód. Nie ma co – na pewno są to cechy, które będą mi bardzo potrzebne, żebym za dwa tygodnie odważyła się wsiąść do samolotu.

*

Znów obudziło mnie łaskotanie po twarzy. Odgarnęłam piasek, usiadłam i zobaczyłam, że w stronę plaży zmierza Wilkołak. Przyglądając się, jak dzięki długim nogom błyskawicznie przemieszcza się po piasku, przez chwilę zastanawiałam się, ile dziewczę zjadł przez ostatnie kilka godzin.

Usiadł tuż nad wodą w tej samej pozycji co poprzednio, tak że byłam w prostej linii za nim. Oboje patrzyliśmy w górę, czekając, aż skończy się spektakularny wschód słońca, jakbyśmy byli w kinie. Kino wszechświata... Spodobało mi się to określenie i byłam dumna, że je wymyśliłam. Może Star wykorzysta je kiedyś w powieści?

Widok był przecudowny, tym wspanialszy, że niebo było nieco zachmurzone, co nadało wschodowi słońca łagodności. Promienie przenikały przez chmury jak złote żółtko sączące się przez ubite na pianę białko.

– Cześć – odezwał się do mnie Wilkołak, kiedy mnie mijał.

– Cześć.

– Ładnie było dziś rano, co? – zagaił.

– Tak, pięknie.

– Ale nie licz na to, że w nocy będziesz mogła spać na plaży. Szykuje się burza.

– No tak – zgodziłam się z nim.

– To na razie. – Pomachał mi ręką i odszedł.

Kilka minut później znów byłam na tarasie. Zobaczyłam, że Jack szykuje śniadanie. Zazwyczaj robiła to Nam, ale od Wigilii jej nie było.

– Cześć – przywitałam go.

– Cześć. – Rzucił mi pełne winy spojrzenie, po czym spytał: – Dobrze spałaś?

– Nieźle. – Gestem przywołałam go do siebie i wskazałam mu postać odchodzącą z plaży. – Znasz go?

– Nie, ale kilka razy widziałem go na plaży późną nocą. Trzyma się na osobności. Dlaczego pytasz?

– Tak tylko się zastanawiałam. Długo tu jest?

– Co najmniej kilka tygodni.

– No tak... Mogę wziąć prysznic u ciebie w pokoju?

– Jasne. Do zobaczenia.

Wykąpałam się, usiadłam na podłodze w pokoju Jacka i wzięłam się do porządkowania plecaka. Oddzieliłam od siebie czyste i brudne ubrania – z czego brudne stanowiły znaczną większość – i postanowiłam, że w drodze na poszukiwanie pokoju odniosę je do pralni. Jeśli dojdzie do najgorszego i w nocy mimo burzy wyląduję na plaży, będę przynajmniej miała czyste, suche ubrania na jutro.

Chociaż w tej części świata nie ma takiego zwyczaju jak drugi dzień świąt, ludzie chodzili wąską alejką między chałupami, w których mieściło się coś w rodzaju sklepów, wyglądając identycznie jak w Europie: sprawiali wrażenie przepitych, przejeżdżonych i rozdrażnionych, bo otworzyli już wszystkie prezenty i podniecenie minęło. Nawet zazwyczaj uśmiechnięta pani w pralni wyglądała ponuro, kiedy oddzielała moje ciemne ubrania od jasnych i na oczach wszystkich wytrząsała moją bieliznę.

– Będzie gotowe na jutro. – Podała mi karteczkę i poczłapałam na dwór.

Z oddali doszedł mnie nikły odgłos grzmotu i wyruszyłam na poszukiwanie pokoju.

Po pewnym czasie wróciłam na werandę. Nie znalazłam miejsca, w którym mogłabym się zatrzymać do jutrzejszego lunchu. Usiadłam ze szklanką wody kokosowej, rozważając, czy nie powinnam przenieść się gdzie indziej – może popłynąć na którąś z wysp Ko Phi Phi. Nie miałam jednak gwarancji, że tam cokolwiek znajdę. W końcu jedna noc na deszczu mnie nie zabije, a jeśli zrobi się naprawdę źle, zawsze mogę się schować pod którąś z restauracyjnych werand.

– Znalazłaś już pokój? – spytał pełnym nadziei głosem Jack, kiedy przechodził koło mnie z tacą, na której niósł piwo do następnego stolika.

– Tak – skłamałam, nie chcąc stawiać go w trudnej sytuacji. – Po lunchu pójdę na górę po plecak.

– Nie mogłabyś mnie na trochę zastąpić za barem? Nam zdezerterowała, a w hotelu pełno gości i nie mam jak iść do szkoły. Przed chwilą dzwonił Abi i powiedział, że przed skałą ustawiła się kolejka długa jak pyton. I mniej więcej tak samo wkurzona.

– Mogę ci pomóc, choć na twoim miejscu bałabym się powierzyć mi noszenie pełnych tac.

– Z braku laku dobry kit, Cee. Zniknę tylko na kilka godzin, przysięgam. Stawiam ci dzisiaj piwo i cokolwiek zechcesz do jedzenia. No to chodź, pokażę ci, o co tu biega.

– No dobrze – rzuciłam i wstałam, żeby iść z nim za bar.

Cztery godziny później po Jacku nie było śladu, a ja miałam już wszystkiego dosyć. W barze cały czas kotłował się tłum i wszyscy zamawiali soki – pewnie za radą tych, którzy leczą kaca witaminą C lub Krwawą Mary – więc pracy było znacznie więcej niż ze zwykłym otwarciem puszki z piwem. Koniec końców, cała ochlapałam się sokiem z mango, który wyprysnął z blendera. Oczywiście niedokładnie go zakręciłam. Wesołość klientów z dnia na dzień zniknęła razem z papierem do prezentów, a ja miałam dosyć ciągłych połajanek, że jestem za wolna. Na dodatek słyszałam coraz bliższe grzmoty, co oznaczało, że kiedy ze swoim plecakiem będę musiała rozbić biwak na plaży, czeka mnie ulewa.

W końcu wrócił Jack, bardzo skruszony z powodu spóźnienia. Rozejrzał się po werandzie, która o tej porze prawie opustoszała.

– Przynajmniej nie miałaś tłumy. A przy skale po prostu wrzało.

No tak... Nic nie powiedziałam, tylko skończyłam jeść kluski, a potem poszłam na górę po plecak.

– Dzięki, Cee. Do zobaczenia – rzucił, kiedy znalazłam się na dole. Zapłaciłam rachunek za pokój i wlokąc się, wyszłam.

Człapałam plażą, kiedy niemal tuż nade mną kilka razy mocno błysnęło. Wyliczyłam, że mam pewnie z pięć minut, zanim lunie, więc przyspieszyłam kroku i skręciłam w prawo do znajomego baru. Zobaczyłam, że prawie wszystkie prowizoryczne sklepy pozamykano wcześniej z powodu nadchodzącej burzy. Kiedy doszłam do baru, tam też zaciągano już żaluzje.

– Nieźle – mruknęłam pod nosem, gdy właściciel pokręcił głową, i poszłam dalej. – Co za idiotycznie zwariowana sytuacja,

CeCe – jęknęłam. – Lepiej wróć do Jacka i powiedz mu, żeby wpuścił cię do łóżka...

Nogi poniosły mnie jednak dalej, aż znalazłam się na plaży po drugiej stronie półwyspu. Nazywała się Phra Nang i właściwie była jeszcze piękniejsza niż Railay. Właśnie dlatego tłumnie zjeżdżali się tam turyści, którzy zostawali tylko na jeden dzień. Poza tym był przy niej luksusowy hotel Rayavadee, wokół którego roilo się od groźnie wyglądających ochroniarzy. Pewnej nocy poszliśmy na nią ze Star po tym, jak odpłynęła nam przed nosem ostatnia łódź. Położyliśmy się na plecach, żeby popatrzeć na gwiazdy. Pięć minut później ktoś zaświecił nam latarką w twarz i kazał się wynosić. Próbowałam się spierać, tłumacząc, że w Tajlandii wszystkie plaże są ogólnodostępne, więc ochrona hotelu nie ma prawa nas stamtąd wyrzucać, ale Star mnie uciszyła. Siłą odprowadzono nas na ścieżkę prowadzącą na drugą stronę półwyspu, tę należącą do „plebsu”.

Coś takiego bardzo mnie boli, bo przecież piękno świata zostało stworzone przez naturę dla wszystkich i nie jest zarezerwowane tylko dla bogatych.

Niebo rozświetliła błękitno-purpurowa błyskawica, więc stwierdziłam, że nie czas na filozoficzne rozważania. Popatrzyłam na plażę i nagle doznałam olśnienia. Przecież na samym jej końcu znajduje się Jaskinia Księżniczki. Porządnie wyciągając nogi, pobiegłam przez piasek. Kiedy miałam już za sobą dwie trzecie drogi, zaczęły na mnie spadać wielkie krople deszczu. Miałam wrażenie, jakby ktoś obsypywał mnie drobnym żwirem.

Wreszcie dotarłam do wejścia. Zataczając się, weszłam do jaskini i rzuciłam plecak. Spojrzałam do góry i przypomniałam sobie, że z jakiegoś powodu księżniczka przedstawiana jest w dwóch posążkach. Oba są małe jak laleczki i mieszkają w miniaturowych drewnianych świątyniach, częściowo ukryte za setkami najróżniejszych girland. Na ich ołtarzu paliły się światełka, spowijając jaskinię pokrępiającym żółtym blaskiem.

Uśmiechnęłam się do siebie na wspomnienie pierwszego razu, kiedy zawitałyśmy tu ze Star. Spodziewałyśmy się czegoś na kształt innych tajskich świątyń, więc oczekiwałyśmy złotego posążku i wszechobecnych ofiar z girland. Zamiast tego zobaczyłyśmy setki

fallusów o różnych kształtach i rozmiarach. Przyjrzałam im się teraz badawczo: przycupnięte na otaczających mnie skałach sterczały do góry z piaszczystego podłoża niczym erotyczne stalagmity. Czerwone, zielone, niebieskie, brązowe... małe, duże... Księżniczka jest najwyraźniej boginią płodności. Sądząc po fallusach stłoczonych w jaskini – niektóre wystawały daleko ponad moją głowę – trudno dziwić się jej skuteczności.

Tego wieczoru Jaskinia Księżniczki dawała mi jednak schronienie; znalazłam się poza zasięgiem deszczu. Lało tak, jakby za otworem wejściowym opuszczono wodną kurtynę. Wstałam i przeszłam między złożonymi w świątyni daninami, a potem uklęknęłam przed ołtarzem, żeby podziękować. Po chwili usadowiłam się w kąciku koło wejścia i przyglądałam się burzy.

Niebo nad morzem i poszarpanymi wapiennymi kolumnami rozświetlały spektakularne, wściekle błyskawice. Z góry lały się na plażę potoki deszczu, połyskujące w świetle księżycy jak srebro. Miałam wrażenie, że Bóg w górze zanoszący się od płaczu.

W końcu wyczerpało mnie przyglądanie się tej ogromnej energii wszechświata. Z trudem wstałam na nogi, razem z plecakiem przeszłam w głąb jaskini i zasnęłam pod ogromnym szkarłatnym fallusem.